

Jest Pani aktorką obsypaną wszystkimi możliwymi nagrodami zarówno krytyków jak publiczności. Co taka nagroda jak Złota Maską znaczą dla Pani?

– Wcześniej, chociaż byłam piękniejsza młodszą, nie rozpieszczano mnie nagrodami. Może i słusznie, bo w tym, co wówczas robiłam więcej było zasługi Pana Boga niż mojej. Młody człowiek jest jak zwierzątko, nie wie, jak dużo od niego zależy. Jedyne, co mnie ze wszystkiego usprawiedliwia, to to, że zawsze byłam bardzo pracowita. Myślę, że to teraz procentuje. Nagrody zaczęły się sypać po czterdziestce. Cieszę się, bo teraz jestem zupełnie kimś innym i łatwiej mi uwierzyć, że rzeczywiście na nie zasłużyłam; że to nie wyróżnienia za wygląd.

– Nagroda krytyków to dla aktora co innego, niż nagroda publiczności...

– Do jednego i drugiego trzeba mieć dystans. Popularność przychodzi i odchodzi. Wielokrotnie byłam na takich falach. Wystarczy zagrać w serialu. Na prawdziwą miłość publiczności trzeba długo pracować. Bywa też, że człowiek się naharuje i mało z tego nie wynika. W teatrze zawsze dajemy z siebie wszystko, ale widownia jest przecież o wiele mniejsza niż np. w telewizji. A w gazetach czasem nas tylko obśmieją, oplują lub skwitują naszą pracę jednym słowem. Ale nagrody publiczności są miodem na wszystkie rany. Bo my, aktorzy pracujemy przecież naprawdę dla ludzi, nie dla krytyki.

– Czy to znaczy, że nie czyta Pani, co na temat Pani ról piszą recenzenci?

– Uznaniem krytyki też jest ważne. Powinno nam dawać wskazówki, pomagać w pracy.

Najczęściej jednak sprawia tylko przykrość i ból. Czytuję recenzje i wszystkie słowa biorę pod uwagę, choć czasami chce mi się płakać, bo to nic nie daje.

Kocham widzów

*Rozmowa z Anną Dymną,
aktorką Starego Teatru,
obdarowaną przez widzów
już po raz drugi Złotą Maską*

Każde przedstawienie wymaga wielkiego wysiłku wielu ludzi.

– Powiedziała Pani, że nagrody przysły po czterdziestce, kiedy jest Pani innym człowiekiem. Co ma Pani na myśli?

– Przede wszystkim fizyczność, która pomogła mi szukać we własnym wnętrzu. Wiadomo, że u kobiet w tym wieku następuje metamorfoza. Można się z tym nie godzić i wariować, albo zrobić z tego użytek. We wszystkim, także w przemianach i zmianach fizycznych można znaleźć sens.

– Od 26 lat jest Pani etatowo związana ze Starym Teatrem. Nigdy nie myślała Pani o porzuceniu tej sceny?

– Nigdy. Ten teatr dał mi tak dużo, że traktuję go jak bliską

półki pracujemy, dajemy premiery, dopóki teatr żyje, mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Zresztą przez całe życie grałam także gdzie indziej a teraz jeszcze, po raz pierwszy w życiu, występuję na innej niż Stary scenie krakowskiej, w Teatrze „Bagatela”.

– Ma Pani jakiś swój sposób wchodzenia w nową rolę?

– Do każdej roli przygotowuję się inaczej, każda wymaga czego innego. Przy roli historycznej wertuję różne źródła. Przy adaptacji czytam wnikliwie dzieło literackie. Jeśli rzecz dotyczy innej epoki, uczę się co mojej postaci wypada robić, na co może sobie pozwolić. Do jednej roli trzeba nauczyć się doić krowę, kosić, czy jeździć na

traktorze, do innej nauczyć się królewskich manier. Przygotowując się do ostatniej sztuki o Tomaszu Mannie, w której gram jego żonę Katię, przeczy-



Fot. Jadwiga RUBIS

tałam wiele pamiętników. Nigdy nie wiadomo, co się kiedy przyda. Czasem trzeba to wszystko wiedzieć tylko po to, żeby od tego odejść i stworzyć fikcyjną postać.

– Lubi Pani jeśli reżyser zostawia aktorowi dużo swobody?

– Każdy mądry reżyser prowokuje aktora, aby go otworzyć; pobudza, zachęca, kopie, głaszcze i gwałci psychicznie. Ma wtedy od aktora wszystko, czerpie z niego garściami.

– Przy pracy nad rolą jest jakiś moment przełomowy?

– Moment, kiedy zbliżam się do premiery i zaczynam odczuwać radość, że nareszcie gram. Że to już jest moje. Ale dochodzi się do tego zmusznie. Praca na planie to

wielka lekcja pokory wobec dzieła i reżysera, kompromis z partnerem, a zarazem próba przybliżenia się do postaci. Czasem i walka z pazurami

o swoje. I ustępowanie, kiedy widzę, że nie mam racji.

– Czy przed spektaklem czuje Pani treść?

– W dniu, kiedy gram, od rana jestem inna. Napięta. Od piątej już się ze mną nie pogada. Co chwilę popatruję na zegarek. I choć przepisowo aktor ma być w garderobie 45 minut przed wyjściem na scenę, koło 6 jestem już w teatrze, choć to zmarnowany czas. Podziwiam tych, którzy wpadają w ostatniej chwili.

– Czy nie trudno Pani godzić obowiązki aktorskie z domowymi?

– Gdybym nie miała obowiązków matki i żony, dawno bym zwariowała w tym zawodzie. Normalne życie jest mi po-

trzebne jak tlen. Żeby móc odgrywać różne uczucia i stany, muszę gdzieś naprawdę je przeżywać; martwić się, kochać, męczyć fizycznie. Do teatru przychodzę odpocząć od obowiązków domowych. Koledzy uważają, że zwariowałam, bo tu przecież jest ciężka harówka. To prawda. Ale to inny wysiłek i inne zmęczenie. Wracam więc do domu, i przy różnych przyziemnych zajęciach spływa ze mnie teatralne napięcie. Dzięki temu osiadam harmonię. Oczywiście często brakuje mi czasu, bo do tego dochodzą jeszcze zajęcia ze studentami. Nie dosypiam. Ostatnio zresztą cierpię na bezsenność. Nie używam żadnych tabletek. Zamiast tego włączam komputer i gram chwilę, żeby się wyciszyć. Bo przy kłóźnie o 4 nad ranem już mnie oczy boją, a sen nie przychodzi.

– Pracując tak intensywnie ma Pani czas na jakieś przyjemności?

– Uwielbiam jeździć na rowerze po mieście i na wycieczki. I to nie tylko teraz, także zimą. W ten sposób oszczędzam czas. Kiedy idę linią AB spotykam kilku znajomych, z każdym pogadam. I już nie ma dnia. Druga pasja to ogród w Rząsce. Nie lubię wpuszczać tam ogrodników, bo nie chce, żeby ktoś mi się rzadził. Pracy mnóstwo, bo wiosna tak huknęła, że koniec świata. Ogród wyje o pomoc. Na razie jednak o przeprowadzce tam na dobre nie ma mowy. Michał ma 13 lat i muszę pilnować, żeby nie stracić z nim kontaktu. Nie mogę sobie pozwolić na to, żebyśmy widywali się tylko przy śniadaniu i późnym wieczorem. Rodzice często powtarzali, że ważna jest praca, ale jeszcze ważniejsza rodzina. Mieli rację!

– Dziękuję za rozmowę

Maria ZIEMIANIN